

Łukasz Maślanka: Europejskie przemeblowania i najgorzej pachnący lokator

Dynamika polityczna w Polsce łądząco przypomina procesy dokonujące się w tych krajach Ameryki Łacińskiej, w których po wielu latach rządu środowisk „konsensusu waszyngtońskiego” doszło do populistycznej rewolucji, całkowicie burzącej to, co wcześniej było zaledwie źle poukładane – pisze dr Łukasz Maślanka w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Dwie (EU)ropy?

Wbrew kreowanej przez rządowe media propagandzie sukcesu, Polska nie stoi obecnie przed wyzwaniem konstruowania wielkiego porozumienia krajów Europy Środkowej z życzliwym błogosławieństwem prezydenta najpotężniejszego mocarstwa światowego. Analogicznie, głównym wyzwaniem Polski późnych lat trzydziestych nie była rozbudowa imperium kolonialnego w Afryce. Wtedy, za bizantyjskimi dekoracjami ozonowej błazenady, toczyła się dramatyczna walka o to, by nadchodząca wojna zastała nasz kraj w ramach pewnego systemu sojuszy. Realna gra, która powinna się teraz toczyć z naszym udziałem, dotyczyłaby raczej tego, czy zostaniemy dopuszczeni do uczestnictwa w następnym etapie integracji europejskiej. Piszę „powinna” i „dotyczyłaby”, gdyż polskie elity polityczne – zarówno rządzące, jak i opozycyjne – w tej grze nie uczestniczą. Z czego wynika ta „wielka odmowa”? Może z tego, że intelektualnie łatwiejsze są walka o względy nacjonalistycznie odurzonego elektoratu, jaką toczy strona rządowa, oraz typowe dla opozycji błaganie o uznanie ze strony europejskiego establishmentu? Uczestnictwo w realnej próbie sił, wymagałoby bowiem ze strony naszych elit rozwiązania kwadratury koła.

Kwadratura koła polskiej polityki europejskiej polega na tym, że na stole leżą obecnie dwie oferty dalszego rozwoju współpracy w ramach UE, z których żadna nie jest optymalna

Polska znajduje się w alarmująco trudnym położeniu międzynarodowym. Na tę sytuację solidarnie pracowały obydwie ekipy rządowe, przemiennie sprawujące w naszym

kraju władzę od 2005 roku. Awanturnictwo, brak jakiegokolwiek koncepcji współpracy europejskiej, całkowite uzależnienie kroków w polityce zagranicznej od wymagań wewnętrznej walki wyborczej, mentalne zakorzenienie w nieistniejącym świecie bilateralnej dyplomacji dziewiętnastowiecznej – to cechy polityki obecnego rządu. Klientelizm, prywata i swoista „telenowelizacja” dyplomacji (ograniczanie świata polityki tylko i wyłącznie do poziomu osobistych powiązań i lojalności) są z kolei znakami rozpoznawczymi środowisk, które przegrały wybory w 2015 roku. Te dwie skrajności spotykają się jednak we wspólnym rezultacie, jakim jest antyintelektualizm i ignorowanie faktu, że Polska – chcąc czy nie chcąc – jest częścią procesów zachodzących w regionie. Ten swoisty autyzm sprawia, że jesteśmy wymarzoną celem cynicznych rozgrywek nie tylko wielkich graczy, takich jak USA, Rosja, Niemcy, czy Francja, ale nawet krajów niewielkich lub dysponujących znacznie gorszym potencjałem realizacji własnych interesów (Węgry, Ukraina).

Kwadratura koła polskiej polityki europejskiej polega na tym, że na stole leżą obecnie dwie oferty dalszego rozwoju współpracy w ramach UE, z których żadna nie jest optymalna. Pozycja gospodarcza naszego kraju nakazywałaby poparcie francuskiego projektu ograniczenia niemieckich nadwyżek eksportowych i budżetowych. Mogłoby to nastąpić, gdyby rząd RFN

zdecydował się odejść od dotychczasowej polityki oszczędnościowej, uruchamiając program wielkich inwestycji infrastrukturalnych, o które zresztą wiele sfer niemieckiego państwa od dawna się prosi. Dzięki temu inne państwa Wspólnoty mogłyby złapać oddech na wzroście rentowności niemieckich obligacji, zamówieniach publicznych płynących z tego wielkiego rynku, przeznaczeniu większej części niemieckiej produkcji przemysłowej na rynek wewnętrzny (a tym samym poluzowaniu konkurencji w Europie). W perspektywie kilku lat złagodziłoby to gospodarcze problemy Francji, Hiszpanii, Włoch, Grecji. Problem polega na tym, że francuska propozycja opiera się na praktycznym wykluczeniu z integracji europejskiej krajów będących głównymi beneficjentami środków z funduszu spójności. Pieniądze te miałyby finansować zwiększone potrzeby inwestycyjne krajów Europy karolińskiej.

Od 2004 roku Polska jest beneficjentem tego najłagodniejszego w historii niemieckiego imperializmu

Przywiązane do dyscypliny budżetowej i monetarnej władze Niemiec nie chciały się na ten projekt zgodzić, choć doprowadziły on w dość krótkim czasie

do wzrostu poziomu życia mieszkańców tego kraju. Można powiedzieć, że akces do propozycji francuskiej byłby w duchu republiki bońskiej, kłóci się natomiast z celami geopolitycznymi zjednoczonych Niemiec. Dobrobyt mieszkańców schodzi tu na plan dalszy wobec interesów wielkich koncernów oraz imperialnego zamysłu kontroli nad przestrzenią gospodarczą Europy Środkowej. Od 2004 roku Polska jest beneficjentem tego najłagodniejszego w historii niemieckiego imperializmu. Problem polega na tym, że możliwości rozwojowe naszego kraju w oparciu o subsydiarność wobec gospodarki

niemieckiej mają swoje granice. Przeczenie tych ograniczeń doprowadziło do asertywnego zwrotu w polskiej polityce oraz klęski formacji, z którą – cytując pewien niemiecki dziennik – „niemiecka polityka łączyła swoje interesy”.

Dwa lata rządów Prawa i Sprawiedliwości nie zdołały odwrócić zaniedbań, wynikłych ze zbytnej spolegliwości obozu liberalnego wobec berlińsko-brukselskiego centrum. Typowe jednak dla formacji populistycznych uzależnianie polityki zagranicznej od wymagań wewnętrznych zrujnowało obraz Polski jako kraju względnie stabilnego. Nie zgłaszam tym stwierdzeniem akcesu do Komitetu Obrony Demokracji, stwierdzam tylko ze smutkiem, że dynamika polityczna w Polsce łądząco przypomina procesy dokonujące się w tych krajach Ameryki Łacińskiej, w których po wielu latach rządu środowisk „konsensusu waszyngtońskiego” doszło do populistycznej rewolucji, całkowicie burzącej to, co wcześniej było zaledwie źle poukładane. Z czasem natomiast, ludzie zaczęli dochodzić do wniosku, że lepiej żyć w pokoju fatalnie umeblowanym niż wegetować na gruzach.

Taki dylemat rysuje się nie tylko przed polskim wyborcą, ale też przed każdym, kto uważnie obserwuje trendy w polityce europejskiej. Oferta niemiecka to dalsze życie w źle umeblowanym, choć przynajmniej ogrzonym pokoju. Oferta francuska to bezdomność. Oferta niemiecka to przejście do porządku dziennego nad tym, że w zagraconym pomieszczeniu łatwo nabić sobie guza, trudno zaś mieszkać z innymi. W efekcie może dojść do rozwodu, a może nawet do rękoczynów. Oferta francuska to rozsądne przemeblowanie połączone z eksmisją najmniej przyjemnie pachnących lokatorów.

Czy najmniej przyjemnie pachnący lokator może skutecznie wysuwać propozycje kompromisowego rozwiązania sytuacji? Szczerze wątpię. Sam musiałby w tym celu zrzucić zbędne balasty. Może zrezygnować z agresywnej

*Oferta francuska to bezdomność.
Oferta niemiecka to przejście do
porządku dziennego nad tym, że
w zagrożonym pomieszczeniu
łatwo nabić sobie guza, trudno
zaś mieszkać z innymi*

kampanii
ideologicznej, która w
Europie Zachodniej
kojarzy się z
„konserwatyzmem
putinowskim”... Może
iść na kompromis ze
znenawidzonymi
siłami wewnętrznego
status quo... Albo

wykazać większe zrozumienie wobec potrzeb eksportowych francuskiego „racjonalizatora”? Trudno przypuszczać, by rząd skazany na trwanie w wytworzonej przez samego siebie dynamice populistyczno-nacjonalistycznej nirwany zdecydował się na tak niepopularne kroki. Ciężko wyobrazić sobie, by na przykład władze Wenezueli skutecznie wyszły nagle z postulatami złagodzenia tych wszystkich czynników globalizacyjnych, które kiedyś wyniosły je do władzy. One są wręcz uzależnione od ich dalszego trwania. Przynajmniej do momentu, w którym po obu stronach wewnętrznego konfliktu politycznego nie dojdzie do krystalizacji sił wystarczająco przestraszonych zagrożeniami zewnętrznymi, by odłożyć te wewnętrzne na plan dalszy. To się w Polsce już zdarzyło ponad ćwierć wieku temu – obyśmy i tym razem zdążyli przed eksmisją.

Autorem grafiki jest Michał Strachowski